

# Rozmowy ze Stalinem

Nr 41/42 16—22.10.81 r.

NIEMOŻLIWE SŁOWO

Wysiłki Stalina, by wprowadzić elementy osobiste, intymne, spełziły na niczym. Przypominając swe zaproszenie z roku 1946, przekazane przez Tite, zapytał mnie: „A dlaczego nie przyjechaliście na Krym? Dlaczego nie przyjęliście mego zaproszenia?”.

Oczekiwałem tego zapytania, a jednak byłem niemile zaskoczony, że Stalin o tym nie zapominał. Wyjaśniłem: „Czekałem na zaproszenie poprzez ambasadę sowiecką. Niezręcznie mi było narzucać się wam i naprzykrzać”.

— Nonsens, żadnego naprzykrzania. Po prostu nie chcieliście przybyć! — wypróbował mnie Stalin.

Lecz ja zamknąłem się w sobie — w chłodnej rezerwie i milczeniu.

I tak, do niczego nie doszło. Stalin i jego grono zimnych, wyrachowanych spiskowców — albowiem za takich ich uważałem — na pewno wyczuli mój opór. Tego właśnie chciałem. Wymknąłem się im, a oni nie odważyli się prowokować tego oporu. Zapewne myśleli, że uniknęli przedwczesnego i tym samym błędnego kroku, lecz ja uświadomiłem sobie te nikczemną rozgrywkę i poczułem w sobie wewnętrzną, do tej pory nieznaną siłę, zdolną do odrzucenia nawet tego, czym żyłem.

Stalin zakończył obiad, wznosząc toast na cześć Lenina: „Wypijmy za Włodzimierza Iljicza, naszego wodza naszego nauczyciela — naszego wszystkiego!”.

Powstałiśmy wszyscy i milcząc uroczyście wypiliśmy, o czym po pijanemu wkrótce zapomnieliśmy. Stalin jednak miał nadal poważny, uroczysty, a nawet chmurny wyraz twarzy.

Odeszliśmy od stołu, lecz nim zaczęliśmy się rozchodzić, Stalin przeszedł do wielkiego automatycznego pateronu. Próbował nawet tańczyć, jakieś swoje narodowe tańce. Nie był zresztą pozbawiony poczucia rytmu. Wkrótce jednak przerwał z pełnym rezygnacją wyjaśnieniem: „Wiek mnie przyłapał i jestem już starym człowiekiem”.

Lecz jego druhowie — lub, jego lepiej powiedziawszy, dworacy — zaczęli go zapewniać: „Nie, nie, nonsens. Wyglądacie świetnie. Trzymacie się nad podziw. Tak jest, jak na wasz wiek...”.

Potem Stalin puścił płytę, na której koloraturowemu szczebiotowi śpiewaczki towarzyszyło wycie i szczekanie psów. Śmiał się z przesadną, nieumiarkowaną uciechą, lecz widząc brak zrozumienia i przykrość na mej twarzy, wyjaśnił, niemal jakby się usprawiedliwiając: „Przecież to jest mądre, diabelnie mądre”.

Wszyscy inni stali za nim gotując się jednak do odejścia. Nic już nie było do powiedzenia po tak długim zebraniu, na którym dyskutowano wszystko, z wyjątkiem sprawy, dla której odbył się ten obiad.

## 6.

Czekaliśmy kilka dni na zaproszenie do Sztabu Generalnego dla przedstawienia naszych dezzyderatów. Poprzednio, jeszcze w pociągu, wspominałem Koczys Popowiczowi i Mijałkowi Todorowiczowi, że ich żądania wydają mi się nadmierne i nierealne. Szczególnie nie mogło mi się pomieścić w głowie, dlaczego Rosjanie mieliby zgodzić się budować jugosłowiański przemysł wojenny, jeśli nie chcieli pomagać na serio w rozwijaniu naszego przemysłu cywilnego. Jeszcze mniej prawdopodobne wydawało mi się, by dali nam flotę wojenną, skoro sami jej nie mieli. Argumenty, że wszystko jedno kto będzie miał flotę na Adriatyku, Jugosławia czy ZSSR, jako że oba te kraje są częściami zjednoczonego świata komunistycznego, wydawały mi się tym bardziej nieprzekonywujące, że jedność ta zaczęła właśnie trzeszczeć, nie mówiąc już o nieufności Sowietów do wszystkiego poza ich zasięgiem i o ich nieukrywanej trosce przede wszystkim o interesy własnego państwa. Skoro jednak wszystkie te postulaty zostały wypracowane i zatwierdzone w Belgradzie, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko je podtrzymywać.



Gmach Sztabu Generalnego był olbrzymim budynkiem, którego zewnętrzną taniocę i sztuczność na próżno usiłowano skompensować wewnątrz rozrzuconym zastosowaniem krzykliwych kotar i poźloty. Posiedzeniu przewodniczył Bułganin, w otoczeniu najwyższych rzeczoznawców wojskowych, wśród których był też Szef Sztabu Generalnego, Marszałek Wasilewski.

Przedstawiłem najpierw nasze potrzeby ogólnie, pozostawiając szczegóły Todorowiczowi i Popowiczowi. Dygnitarze sowieccy nie zobowiązywali się do niczego, starannie jednak zapoznawali się z naszymi sprawami i zapisywali sobie wszystko. Wyszliliśmy zadowoleni, przekonani, że sprawy ruszyły z martwego punktu i że realna, konkretna praca zacznie się wkrótce.

Tak to doprawdy wyglądało. Todorowicz i K. Popowicz zostali wkrótce zaproszeni na dalsze spotkania. Lecz nagle wszystko urwało się. Dygnitarze sowieccy dawali do poznania, że zaszły „komplikacje” i że musimy czekać.

Było dla nas jasne, że coś się dzieje pomiędzy Moskwą i Belgradem, chociaż nie wiedzieliśmy dokładnie co. Nie mogę też powiedzieć, że byliśmy zdziwieni. W każdym razie, nasz krytyczny stosunek do rzeczywistości sowieckiej i postawa Moskwy wobec Belgradu mogły tylko sprawić, że odroczenie naszych rozmów stało się jeszcze trudniejsze do zniesienia, zwłaszcza że nie mieliśmy nic do roboty, zmuszeni zabijając czas rozmowami i uczęszczaniem do staromodnych lecz doskonałych teatrów moskiewskich.

Zaden obywatel sowiecki nie śmiał nas odwiedzić, mimo, że przybyliśmy z komunistycznego kraju, wciąż należeliśmy do kategorii cudzoziemców, z którymi obywatele ZSSR — wedle literary prawa — nie mogli przestawać. Wszystkie nasze kontakty ograniczały się do oficjalnych stosunków w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i Komitecie Centralnym. To niepokoiło nas i obrażało, tym bardziej, że w Jugosławii nie było takich ograniczeń, a już w żadnym razie nie dla przedstawicieli i obywateli ZSSR. To właśnie skłoniło nas do wyciągania krytycznych wniosków.

Krytyka nasza nie doszła jeszcze do punktu uogólniania, obfitowała jednak w przykłady wzięte z konkretnej rzeczywistości. Wukmanowicz-Tempo odkrył brak w budynkach wojskowych, czego nie ukrywał. Celem zmniejszenia nudy, Kocza Popowicz i ja zrezygnowaliśmy z osobnych apartamentów w Hotelu Moskwa, nie otrzymaliśmy jednak wspólnego apartamentu, dopóki go „elektrotechnik” nie doprowadził do porządku, co zrozumieliśmy jako zainstalowanie aparatu podsłuchowego. Pomimo faktu, że Moskwa była nowym i największym hotelem, nic nie funkcjonowało należycie — było zimno, kurki cięły, a waniem, sprowadzonych z Niemiec wschodnich, nie można było używać, ponieważ wyciekająca woda zalewała podłogę. Do łazienki nie było klucza, co dało Popowiczowi okazję do dowcipkowania: Architekt liczył się z tym, że klucz może zginać i umieścić klozet blisko wejścia, tak, by można było nogą przytrzymać drzwi.

Często z westchnieniem przypominałem sobie mój pobyt w Hotelu Metropol w roku 1944. Wszystko tam było stare, lecz funkcjonowało; złożona ze staruszków obsługa mówiła po angielsku i francusku i była pełna wdzięku i staranności. Lecz w Hotelu Moskwa... Pewnego dnia posłyszałem głosy w łazience. Napotkałem tam dwóch robotników. Jeden z nich naprawiał coś na suficie, podczas gdy drugi trzymał go na ramionach. „Na litość boską, towarzysze”, powiedziałem, „dlaczego nie posługujecie się drabiną?”. Robotnicy żalili się: „Prosiłmy o nią dyrekcję niezliczone razy ale na nic — za każdym razem mamy ten sam kłopot”.

Spacerując tu i tam, oglądaliśmy „piękną Moskwę”, której przeważna część jest wielką wsią, zaniedbaną i zacofaną w rozwoju. Kierowca Panow, któremu z Jugosławii posłałem w darze zegarek i z którym nawiązałem serdeczne stosunki, nie mógł uwierzyć, iż w Nowym Jorku i Paryżu jest więcej samochodów, chociaż nie ukrywał swego niezadowolenia z jakości nowych wozów sowieckich.

Na Kremlu, gdy zwiedzaliśmy groby carów, przewodniczka mówiła z nacjonalistycznym patosem o „naszych carach”. Wyższość Rosjan była wszędzie stawiona i przybierała formy groteskowe.



I tak dalej, i tak dalej... Na każdym kroku odkrywaliśmy niedostrzegane do tej pory aspekty rzeczywistości sowieckiej: zacofanie, prymitywizm, szowinizm, kompleks wielkomocarstwowy, chociaż towarzyszyły im bohaterskie i nadludzkie wysiłki, by przerosnąć przeszłość i przegonić naturalny bieg wydarzeń.

Widząc, że w zakutych głowach przywódców sowieckich i dygnitarzy politycznych każda najmniejsza krytyka przeobraża się w postawę antysowiecką, spontanicznie — ilekroć znaleźliśmy się w towarzystwie Rosjan — zamykaliśmy się w naszym gronie. Byliśmy jednocześnie polityczną misją, zaczęliśmy więc zwracać sobie wzajemnie uwagę na wszystko, co było „niezręczne” w naszym zachowaniu się lub w słowach. Ta separacja przybrała zorganizowany charakter. Pamiętam, jak — zdając sobie sprawę z aparatów podsłuchowych — zaczęliśmy uważać na swe słowa w hotelu i w biurach oraz głośzyć rozmowy audycjami radiowymi.

Przedstawiciele sowieccy musieli to zauważyć. Napięcie i podejrzliwość rosły szybko.

W owym czasie sarkofag Lenina, ukrywany w czasie wojny gdzieś w głębi kraju, powrócił na Plac Czerwony. Pewnego ranka poszliśmy go zwiedzić. Samo zwiędzanie byłoby bez znaczenia, gdyby nie wywołało tak we mnie jak i w mych towarzyszach nowego i do tej pory nieznanego oporu. Schodząc powoli do mauzoleum widziałem proste kobiety w chustkach, żegnające się krzyżem, jak gdyby zbliżały się do relikwii jakiegoś świętego. Mnie także opanowało uczucie mistycyzmu, coś niepamiętnego od czasów odległej młodości. Co, więcej, wszystko było tak urządzone, by wywoływać takie właśnie uczucie w człowieku — granitowe bloki, wypreżone posterunki, niewidzialne źródło światła nad Leninem, a nawet jego ciało, wyschłe i białe jak kreda, z odrobiną jak gdyby przez kogoś zasadzonych rzadkich włosów. Pomimo mego respektu dla geniuszu Lenina, to nagromadzenie mistycyzmu wokół śmiertelnych jego szczątków wydawało mi się nie naturalne, a przede wszystkim antymaterialistyczne i antyleninowskie.

Mieliśmy zamiar — nawet w wypadku gdybyśmy byli bardzo zajęci — zobaczyć Leningrad, miasto rewolucji, miasto o wszechstronnej piękności. Zwróciłem się w tej sprawie do Żdanowa i łaskawie wyraził swą zgodę. Wyczułem jednak także pewną rezerwę. Spotkanie trwało zaledwie dziesięć minut. Tym niemniej, nie zapomniiał zapytać mnie, co myślę o oświadczeniu Dimitrowa w *Prawdzie* z okazji jego wizyty w Bukareszcie. Oświadczeniu, w którym nalegał na koordynację planów gospodarczych i zawarcie unii celnej między Bułgarią i Rumunią. Odpowiedziałem, że oświadczenie mi się nie podoba, gdyż traktuje stosunki bułgarsko-rumuńskie w izolacji i jest przedwczesne. Żdanow też nie był zadowolony z oświadczenia, chociaż nie ujawniał swych powodów; wyszły one na jaw wkrótce potem i przedstawię je później szczegółowo.

W tym samym czasie przybył do Moskwy przedstawiciel jugosłowiańskiego handlu zagranicznego, Bogdan Crnobrnja i nie mogąc przełamać pewnych zasadniczych przeszkód ze strony urzędów sowieckich zażądał ode mnie, bym razem z nim poszedł do Mikojana, ministra handlu zagranicznego.

Mikojan przyjął nas ozięble, zdradzając zniecierpliwienie. Wśród naszych postulatów był także i ten, by Sowiety — jak to nam przyrzekły — dostarczyły nam wagonów kolejowych ze swych stref okupowanych; sporo tych wagonów zabrano z Jugosławii, a Rosjanom były one nieprzychylnie, gdyż tory są u nich szersze niż u nas.

„A jak sobie wyobrażacie, że je wam dam — na jakich warunkach, po jakiej cenie?” zapytał chłodno Mikojan.

Odpowiedziałem: „Ze je nam dacie w prezencie!”.

Odpowiedział krótko i węzłowo: „Nie zajmuję się rozdawaniem prezentów, lecz handlem”.

Na próżno też Crnobrnja i ja staraliśmy się zmienić warunki sprzedaży filmów sowieckich, zbyt wygórowane, więc niekorzystne dla Jugosławii. Tłumacząc się tym, że inne kraje wschodnio-europejskie mogłyby to uważać za precedens, Mikojan odmówił nawet podjęcia dyskusji na ten temat. Zmienił się jednak całkowicie, gdy rozmowa zesła na miedź jugosłowiańską. Zaofiarował platność w każdej walucie lub w towarach, z góry i w każdej wysokości.



Nic więc u niego nie wskóraliśmy, tyle tylko, że przewlekliśmy jałowe i niekończące się rokowania. Oczywiście było, że koła sowieckiej maszyny przestały się obracać, jeśli chodzi o Jugosławię.

Natomiast wycieczka do Leningradu przyniosła ulgę i odświeżenie.

Gdyby nie wycieczka do Leningradu nigdy bym nie uwierzył, że coś mogło poświęceniem i bohaterstwem przewyższyć ofiarność mieszkańców powstańczych rejonów i partyzantów jugosłowiańskich. Lecz Leningrad przewyższał rzeczywistość rewolucji jugosłowiańskiej, jeśli nie bohaterstwem, to nā pewno zbiorowym poświęceniem. W tym wielomilionowym nęście, odciełym od zaplecza, bez opau i żywności, pod niustającym obstrzałem ciężkiej artylerii i nalołów, około trzystu tysięcy ludzi zmarło z głodu i mrozu w czasie zimy 1941—1942. Ludzie zdegradowani zostali do poziomu ludożerstwa, ale nikt nie myślał o kapitulacji. To wszakże jest tylko obraz ogólny. Dopiero po zapoznaniu się z rzeczywistością z —konkretnymi wypadkami poświęcenia i bohaterstwa i z żywymi ludźmi, którzy w tym brali udział lub byli świadkami — zrozumielismy ogrom epopei Leningradu i siły, do której zdolni są ludzie — naród rosyjski — gdy zagrożone są fundamenty ich duchowej, politycznej i materialnej egzystencji.

Nasze spotkanie z funkcjonariuszami leningradzkimi dodało naszemu podziwowi ludzkiego ciepła. Wszyscy co do jednego byli to prości, światli, ciężko pracujący ludzie, którzy wzięli na swe barki i wciąż nosili w swych sercach tragiczną wielkość miasta. Lecz pędzili oni życie samotne i radzi byli spotkać ludzi z innego klimatu i kultury. Zrozumielismy się z nimi łatwo i szybko — jako ludzie, którzy doświadczyli podobnego losu. Nigdy nie przyszło nam na myśl żalić się na przywódców sowieckich. Tutaj jednak zaobserwowaliśmy, iż ludzie ci podchodzili do życia swego miasta i do obywateli tego najbardziej kulturalnego i najbardziej uprzemysłowionego ośrodka w wielkim kraju rosyjskim — w sposób prostszy i bardziej ludzki, niż w Moskwie.

Wydało mi się, że mógłbym bardzo szybko znaleźć z nimi wspólny język polityczny, po prostu wychodząc z postawy humanistycznej. Nie zdziwiło mnie więc, gdy dwa lata później dowiedziałem się, że i ich zmiażdżył totalitarny walec tylko dlatego, że ośmielili się być także ludźmi.

W tym jasnym, chociaż i smutnym epizodzie leningradzkim była też niemiła plama — nasza eskorta, Lesakow. Właśnie w tym czasie napotykało się w Związku Sowieckim dygnitarzy, pochodzących z niższych sfer mas pracujących. Można było wyczuć — z jego niedokształcenia i prostactwa — że Lesakow był jeszcze niedawno robotnikiem. Te braki nie były grzechem, gdyby nie starał się ich ukryć i gdyby nie był tak nienaturalnie pretensjonalny. W rzeczywistości awansu społecznego nie zawdzięczał swojej pracy i talentom, lecz został wywindowany na stanowisko w Komitecie Centralnym, w którym powierzono mu sprawy jugosłowiańskie. Był on czymś pośrednim między agentem wywiadu a funkcjonariuszem partyjnym. Grając rolę partyjniaka i pilnując „linii”, zbierał w sposób prymitywny informacje o partii jugosłowiańskiej i jej przywódcach.

Drobny, o twarzy suchej i żółtych krótkich zębach, z krzywo zawiązanym krawatem i wylazającą ze spodni koszula, lękający się wciąż, że może wyglądać „niekulturalnie” — Lesakow byłby do przyjęcia jako zwykły robotnik. Powierzono mu jednak zbyt wielkie zadanie i dlatego prowokował nas — głównie mnie — do niemiłych dyskusji. Puszyl się tym, że „towarzysz Zdanow oczyścił z Żydów aparat Komitetu Centralnego!” — a jednocześnie wychwalał Polibiurow węgierskie, składające się wyłącznie z emigrantów pochodzenia żydowskiego. Nasunęło mi to przypuszczenie, że mimo skrytego antysemityzmu rządowi sowieckiemu było wygodnie mieć na kierowniczych stanowiskach w węgierskiej hierarchii Żydów, uważając ich za niepowiązanych z narodem węgierskim a tym samym bardziej zależnych od jego woli.

Słyszałem już i zauważyłem, że gdy w Związku Sowieckim chcą pozbyć się kogoś a nie mają po temu przekonujących powodów, zazwyczaj rozpowszechniają o nim przez agentów tajnej policji jakąś wieść hańbiącą. I tak Lesakow opowiedział mi „poufnie”, że marszałka Żukowa wyrzucono za grabież kosztowności w Berlinie — „Wiecie, towarzysz Stalin nie znosi niemoralności!” — zaś o zastępcy szefa Sztabu Generalnego, generale Antonowie: „Wyobrażcie sobie, udowodniono mu żydowskie pochodzenie!”.



Było też jasne, że Lesakow pomimo ograniczonej inteligencji był dobrze poinformowany o sytuacji w jugosłowiańskim Komitecie Centralnym i o metodach jego pracy. „W żadnej partii wschodnio-europejskiej”, powiedział, „nie ma tak dokładnie obserwowanej czwórki, jak w waszej”.

Nie wymienił nazwisk owej czwórki, ale bez pytania wiedziałem, że miał na myśli Tite, Kardela, Rankowicza i mnie. I stawiałem sobie retoryczne pytanie: Czy przypadkiem ta czwórka nie jest także „orzęszkiem” dla sowieckiego kierownictwa.

## 7.

Po dniach próżnowania, Kocza Popowicz postanowił powrócić do kraju, pozostawiając w Moskwie Todorowicza, by czekał na wynik, to jest na zmiłowanie się kierownictwa sowieckiego i wznowienie rozmów. Odjechałbym razem z Popowiczem, gdyby z Belgradu nie nadeszła depeza, zapowiadająca przyjazd Kardela i Bakaricza. Miałem razem z nimi przeprowadzić z rządem sowieckim rozmowy na temat „powszechnych komplikacji”.

Kardel i Bakaricz przybyli w niedzielę 8 lutego 1948 roku. Rząd sowiecki faktycznie zaprosił Tite, ale w Belgradzie wymówili się jego chorobą — nawet z tego widać już było wzajemną nieufność. Na jego miejsce przybył więc Kardel. Jednocześnie zaproszona była delegacja rządu bułgarskiego, to jest delegacja Komitetu Centralnego, o czym powiadomił nas wszedłszy Lesakow, celowo podkreślając, że z Bułgarii przybyła „największa szyszka”.

Już poprzednio, 29 stycznia, *Prawda* wyparła się Dymitrowa i odcięła się od jego „problematycznych i fantastycznych federacji i konfederacji” oraz unii celnych. Była to nagana i widomy znak sztywniejszego kursu, jaki przyjmie rząd sowiecki.

Kardel i Bakaricz pomieszczeni zostali w willi pod Moskwą, do której wprowadziłem się razem z nimi. Tej samej nocy, gdy żona Kardela już spała a Kardel leżał w łóżku, usiadłem przy nim i jak mogłem najciszej powiadomiłem go o moich wrażeniach z pobytu w Moskwie i o moich kontaktach z przywódcami sowieckimi. Sprowadziły się one do wniosku, że nie możemy liczyć na żadną poważną pomoc, lecz że musimy polegać na własnych zasobach, albowiem rząd sowiecki uprawia własną politykę uzależniania, usiłując sprowadzić Jugosławię do poziomu okupowanych krajów wschodnio-europejskich.

Kardel powiedział mi, wtedy albo tuż po swym przybyciu, że bezpośrednią przyczyną zatargu z Moskwą było porozumienie pomiędzy rządami: jugosłowiańskich i albańskim w sprawie stacjonowania dwóch dywizji jugosłowiańskich w Albanii. Dywizje już się formowały, pułk myśliwców lotnictwa jugosłowiańskiego był już w Albanii, gdy Moskwa zaprotestowała żywo, odmawiając przyjęcia do wiadomości, iż dywizje jugosłowiańskie potrzebne są do obrony Albanii przed ewentualnym atakiem „monarcho-faszystów” greckich. W swej depezy do Belgradu, Molotow groził jawnym zerwaniem.

Następnego dnia po przybyciu Kardela, przechadzając się w parku pod czujnym okiem agentów sowieckich — na ich twarzach czytaliśmy wściekłość, że odbywamy konferencję, której nie mogą podsłuchać — Kardel i ja ciągnęliśmy naszą rozmowę, w obecności Bakaricza. Była ona szersza i bardziej konsekwentna w analizach, była też — mimo nieznacznych różnic w naszych wnioskach — całkowicie jednomyślna. Jak zazwyczaj, ja byłem bardziej surowy i stanowczy.

Nikt nas o niczym nie powiadał i nie było żadnego znaku z sowieckiej strony, aż do następnego wieczoru, 10 lutego, kiedy to o dziewiątej godzinie zabrano nas samochodem i zawieziono na Kreml, do biura Stalina. Czekał tam jakieś piętnaście minut na Bułgarów — Dimitrowa, Kolarowa i Kostowa — i gdy tylko przybyli, zaprowadzono nas natychmiast do Stalina. Usadowiono nas w ten sposób, że na głównym miejscu siedział Stalin, na prawo od niego przedstawiciele sowieccy — Molotow, Zdanow, Malenkow, Susłow, Zorin; na lewo Bułgarzy — Kolarow, Dimitrow, Kostow, dalej zaś przedstawiciele jugosłowiańscy — Kardel, ja i Bakaricz.



W swoim czasie przedłożyłem pisemne sprawozdanie z tego spotkania jugosłowiańskiemu Komitetowi Centralnemu, ponieważ jednak dziś nie mam do niego dostępu, muszę polegać na mej pamięci i na tym, co już o tym spotkaniu ogłoszono.

Pierwszy zabrał głos Mołotow, który ze zwykłą mu zwieżnością podniósł, że pomiędzy rządem sowieckim z jednej strony a rządami: jugosłowiańskim i bułgarskim z drugiej pojawiły się poważne różnice, co jest „niedopuszczalne zarówno z partyjnego jak i politycznego punktu widzenia”.

Jako przykład tych różnic przytoczył fakt, że Jugosławia i Bułgaria podpisały traktat przymierza nie tylko bez wiedzy, lecz i wbrew poglądom rządu sowieckiego, który jest zdania, że przed podpisaniem traktatu pokojowego Bułgaria nie może podpisywać żadnych traktatów politycznych.

Mołotow chciał dłużej zająć się bukareszteńskim oświadczeniem Dimitrowa na temat utworzenia wschodnio-europejskiej federacji, obejmującej też Grecję oraz unii celnej i koordynacji planów gospodarczych pomiędzy Rumunią i Bułgarią. Stalin jednak mu przerwał: „Towarzysza Dimitrowa za daleko ponosi wymowa na konferencjach prasowych — nie uważa, co mówi. Wszystko zaś, co mówi i co mówi Tito, przyjmuje się za granicą jako powiedziane za naszą wiedzą. Na przykład, byli tu z wizytą Polacy. Pytam ich: Co myślicie o oświadczeniu Dimitrowa? Mówią: Dobrze. Ja zaś im mówię, że nie jest dobre. Wtedy odpowiadają, że oni też sądzą, że nie jest dobre — jeśli takie jest zdanie rządu sowieckiego. Myśleli bowiem, że Dimitrow wydał to oświadczenie za wiedzą i zgodą rządu sowieckiego i dlatego je aprobowali. Dimitrow później usiłował poprawić to oświadczenie za pośrednictwem bułgarskiej agencji telegraficznej, ale bynajmniej tym nie pomógł. Co więcej, przypominał, jak to Austro-Węgry swego czasu przeszkadzały unii celnej pomiędzy Bułgarią i Serbią, co naturalnie prowadzi do wniosku: Niemcy stawiali na przeszkodzie dawniej, teraz — Rosjanie. Oto co się dzieje!”.

Mołotow mówił dalej, że rząd bułgarski spieszy się do ustalenia federacji z Rumunią nawet nie zasięgając w tej sprawie rady rządu sowieckiego.

Dimitrow próbował załagodzić sprawę, podkreślając, że mówił o federacji tylko ogólnikowo.

Lecz Stalin mu przerwał: „Nie, zgodziliście się na unię celną i na koordynację planów gospodarczych”.

Mołotow powiedział w ślad za Stalinem: „...a czymże jest unia celna i koordynacja gospodarcza, jak nie utworzeniem państwa?”.

W owym momencie wyszła drastycznie na jaw istotna treść spotkania, choć nikt nie wypowiedział wyraźnie, a mianowicie: stosunki pomiędzy „demokracjami ludowymi” są dozwolone tylko do granic interesów sowieckich i tylko za zgodą rządu sowieckiego. Stało się widoczne, że dla przywódców sowieckich, z ich wielkomo-carstwową mentalnością (co znalazło wyraz w koncepcji Związku Sowieckiego jako „przodującej siły socjalizmu”), a zwłaszcza z ich przeświadczeniem, że Czerwona Armia oswobodziła Rumunię i Bułgarię, oświadczenia Dimitrowa oraz brak dyscypliny i samowola Jugosławii są nie tylko herezją, ale negacją „świętych” praw Związku Sowieckiego.

Dimitrow próbował wyjaśnić, usprawiedliwić się, ale Stalin przerywał nieustannie, nie dając mu dokończyć. Oto był prawdziwy Stalin. Jego humor przeobraził się teraz w złośliwą brutalność, a jego ekskluzywność w nietolerancję. Wciąż jednak panował nad sobą i udawało mu się nie wpaść w furję. Nie tracąc ani na chwilę z oczu istotnego celu, stawiał Bułgarom zarzuty i czynił gorzkie wymówki, wiedział bowiem, że mu ulegną, faktycznie jednak wzrok miał utkwiony w Jugosłowianach — zgodnie z ludowym powiedzeniem: łaje córkę, aby zganić synową.

Poparty przez Kardela, Dimitrow wskazywał, iż Jugosławia i Bułgaria nie podpisały traktatu w Bled, a tylko oświadczenie, iż doszło do porozumienia, mającego doprowadzić do traktatu.

„Tak, lecz nie zasięgnęliście naszej rady!” krzyczał Stalin. „Z gazet dowiadujemy się o waszych działaniach! Plotkujecie jak baby na cały głos o wszystkim co się u was dzieje, a potem podchwytyją to dziennikarze!”.



Dimitrow mówił dalej, półgębkiem usprawiedliwiając swe stanowisko w sprawie unii celnej z Rumunią. „Bułgaria znajduje się w takich trudnościach gospodarczych, że bez współpracy z innymi krajami nie może się rozwijać. Jeśli chodzi o me oświadczenie na konferencji prasowej, prawdą jest, że zagalopowałem się”.

Stalin przerwał mu: „Chcieliście popisać się oryginalnością! Było to zupełnie błędne, gdyż taka federacja jest nie do pomyślenia. Jakże węzły historyczne łączą Bułgarię z Rumunią? Żadnie! Nie mamy potrzeby mówić o Bułgarii i — powiedzmy — o Węgrach lub Polsce”.

Dimitrow powiedział: „Zasadniczo nie ma różnic pomiędzy polityką zagraniczną Bułgarii i Związku Sowieckiego”.

Stalin, zdecydowanie i mocno: „Są poważne różnice. Czemu to ukrywać? Zwycajam Lenina było zawsze zdawać sobie sprawę z błędów i usuwać je możliwie jak najszybciej”.

Dimitrow, łagodząc, niemal pokornie: „Prawda, zbłądziliśmy. Ale na swych błędach uczymy się, jak postępować w polityce zagranicznej”.

Stalin, cierpko i szorstko: „Uczycie się! Zajmujecie się polityką od pięćdziesięciu lat — i teraz poprawiacie błędy! Waszym nieszczęściem są nie błędy, lecz stanowisko odmienne od naszego”.

Rzuciłem okiem na Dimitrowa. Uszy miał czerwone, na twarzy wystąpiły mu wielkie czerwone plamy, pokrywając ślady egzemy. Rzadkie jego włosy były rozwichrzone i spadały mu martwymi kosmykami na pomarszczony kark. Żal mi go było. Lew procesu lipskiego, który ze swej klątki urągał Göringowi i faszystom w okresie wielkiego wzrostu jego wpływów, wyglądał obecnie przygnębiony i zastraszone.

Stalin ciągnął dalej: „Unia celna, federacja pomiędzy Rumunią i Bułgarią — ależ to nonsens! Federacja pomiędzy Jugosławią, Bułgarią i Albanią, to co innego. Istnieją tu więzy historyczne i inne. To jest federacja, którą należy utworzyć i to im szybciej, tym lepiej. Tak, im szybciej, tym lepiej — bezzwłocznie, o ile możliwości, jutro! Tak, jutro, o ile możliwości! Dojdźcie w tej sprawie natychmiast do porozumienia”.

Ktoś, myślę że Kardel, zauważył, że federacja jugosłowiańsko-albańska już się tworzy.

Lecz Stalin podkreślił: „Nie, najpierw federacja pomiędzy Bułgarią i Jugosławią, a potem obu z Albanią”.

A potem dodał: „Sądzimy, że powinna powstać federacja Rumunii i Węgier, a także Polski i Czechosłowacji”.

Dyskusja na chwilę ucichła.

Stalin nie rozwijał dalej tej kwestii federacji. Pwtórzył później, w formie dyrektywy, że federacja pomiędzy Jugosławią, Bułgarią i Albanią winna być natychmiast utworzona. Lecz z jego zadeklarowanego stanowiska i z mglistych aluzji ówczesnych dyplomatów sowieckich wydawało się, że przywódcy sowieccy mieli na myśli reorganizację Związku Sowieckiego przez przyłączenie do niego „demokracji ludowych” — połączenie Ukrainy z Węgrami i Rumunią, a Białorusi z Polską i Czechosłowacją, podczas gdy państwa bałkańskie miały być połączone z Rosją! Jakkolwiek niejasne i hipotetyczne były wszystkie te plany, jedno jest pewne: Stalin szukał dla krajów wschodnio-europejskich rozwiązań i form, które by na długi czas utrwaliły i zabezpieczyły panowanie i hegemonię Moskwy.

Zdawało się już, że kwestia unii celnej, to jest porozumienia bułgarsko-rumuńskiego, została załatwiona, gdy stary Kolarow, jak gdyby przypomniawszy sobie coś ważnego, zaczął tłumaczyć: „Nie mogę zrozumieć, w czym towarzysz Dimitrow zbłądził. Przecież z góry postaliśmy projekt traktatu z Rumunią do rządu sowieckiego i rząd sowiecki nie poczynił żadnych uwag w sprawie unii celnej, poza określeniem napastnika”.

Stalin zwrócił się do Mołotowa: „Czy nadesłali nam projekt traktatu?”. Mołotow, bez zakłopotania, ale i nie bez złości: „No cóż, tak”.

Stalin, z gniewną rezygnacją: „My też popełniamy głupstwa”.

Dimitrow uchwycił się tego nowego faktu: „To właśnie był powód mego oświadczenia. Projekt był wysłany do Moskwy. Nie przypuszczam, że mogliście mieć coś przeciw niemu”.



Lecz Stalin był nieustępliwy. „Nonsens. Popędziliście jak komsomolec. Chciełście zadziwić świat, jak gdybyście byli wciąż sekretarzem Kominternu. Wy i Jugosłowianie nie nikomu nie mówicie o tym, co robicie, musimy się wszystkiego dowiadywać na ulicy. Stawiacie nas przed faktem dokonanym!”

Kostow, który był w owym czasie odpowiedzialny za sprawy gospodarcze Bułgarii, pragnął też coś powiedzieć. „Trudna to rzecz, być małym i niedorozwiniętym krajem... Chciałbym podnieść pewne kwestie gospodarcze”.

Lecz Stalin mu przerwał, kierując go do odnośnych ministerstw i zaznaczając, że spotkanie to miało na celu przedyskutowanie różnic w polityce zagranicznej trzech rządów i partyj.

Wreszcie doszedł do głosu Kardel. Był czerwony i — co było u niego oznaką wzburzenia — wcisnął głowę między ramiona i w niewłaściwych miejscach przerywał zdania. Wskazał on, że traktat pomiędzy Jugosławią i Bułgarią, podpisany w Bled, został uprzednio przedłożony rządowi sowieckiemu, lecz że rząd sowiecki nie poczynił żadnych uwag, poza uwagą co do czasu jego trwania — zamiast „na wieczne czasy” doradzał „lat dwadzieścia”.

Stalin patrzył w milczeniu i nie bez wyrzutu na Mołotowa, który zwiesił głowę i zaciśnięciem warg faktycznie potwierdzał słowa Kardela.

„Z wyjątkiem tej uwagi, którą przyjęliśmy”, stwierdzał Kardel, „nie było żadnych różnic...”.

Stalin przerwał mu, równie gniewnie chociaż nie tak obrażająco jak Dimitrowowi. „Nonsens! Są różnice, i to poważne. Co powiecie o Albanii? Nie zasięgaliście naszej rady jeśli chodzi o wejście waszych wojsk do Albanii”.

Kardel podkreślał, że była na to zgoda rządu albańskiego.

Stalin krzychał: „To mogło doprowadzić do poważnych komplikacji międzynarodowych. Albania jest państwem niepodległym! Co sobie myślicie? Jest usprawiedliwienie czy nie ma usprawiedliwienia — faktem pozostaje, że nie zasięgaliście naszej rady co do wysłania dwóch dywizji do Albanii”.

Kardel wyjaśnił, że nic w tym wszystkim nie zostało jeszcze sfinalizowane i dodał, że nie pamięta ani jednego problemu zagranicznego, w którym by rząd jugosłowiański nie zasięgał rady Sowietów.

— Nie jest tak! — krzychał Stalin — Nie radzicie się nas wcale. To nie wasza pomyłka, lecz wasza polityka — tak, wasza polityka!

Pozbawiony głosu, Kardel zamilkł i nie forsował swego poglądu.

Mołotow podniósł kawałek papieru i odczytał ustęp z traktatu jugosłowiańsko-bułgarskiego: że Bułgaria i Jugosławia będą „działały w duchu Narodów Zjednoczonych i popierały wszystkie poczynania zmierzające do zachowania pokoju i przeciw wszelkim wyłęgarniom agresji”.

— Co to ma znaczyć — zapytał Mołotow.

Dimitrow wyjaśnił, że słowa te oznaczają solidarność z Narodami Zjednoczonymi w walce przeciw wyłęgarniom agresji.

Stalin wtrącił się: „Nie, to jest wojna przewencyjna — najzwyczajniejszy wyczyn konsomolski; jarmarczyny frazes, woda na młyn nieprzyjacielski”.

Mołotow powrócił do bułgarsko-rumuńskiej unii celnej, podkreślając że jest to początek zlania się dwóch państw.

Stalin wtrącił spostrzeżenie, że unie celne są na ogół nierealne. Dyskusja znowu trochę uspokoiła się, więc Kardel zauważył, że niektóre unie celne w praktyce okazały się nie tak zle.

— Na przykład — zapytał Stalin.

— No cóż, na przykład Beneluks — powiedział Kardel ostrożnie. — Belgia, Holandia i Luksemburg połączyły się.

Stalin: „Nie, nie Holandia. Tylko Belgia i Luksemburg. To jest nic, bez znaczenia”

Kardel: „Nie, Holandia też tam należy”.

Stalin z uporem: „Nie, Holandia nie należy”.